

# Władysław Terlecki

---

## Brulion

---

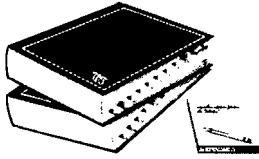
Palestra 42/1-2(481-482), 54-56

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



# B

Władysława  
TERLECKIEGO

# BRULION

Niewiele właściwie pozytywnych faktów dotyczących politycznej edukacji Polaków da się w ostatnich latach wysułać. Wprost przeciwnie: liczba grzechów rośnie w skali budzącej uzasadnioną niepokój.

Na tym więc tle każdy objaw pozytywnego myślenia zasługuje na odnotowanie. Po licznych gorszących incydentach zdumiewa obecnie powszechnie wyrażana aproba dla osoby premiera Buzka. Nie pamiętam, aby w latach ostatnich na polskiej scenie politycznej pojawiła się osobistość, która u bardzo wielu ludzi, prezentujących różne poglądy i orientacje, budziłaby równie wysoki szacunek z jednej strony, jak i nadzieję na to, iż szacunek ten nie zostanie w przyszłości podważony.

Nie zazdroszczę jednak premierowi Buzkowi takiej świadomości. Jest to bowiem zobowiązanie podejmowane w okolicznościach, w których przyszłość nie wydaje się dziś być zbyt klarowna, a ciężar odpowiedzialności staje się w związku z tym większy. Polacy nie mają na ogół zaufania do wielu prominentnych figur politycznych. Wiara, że ten właśnie człowiek ich nie zawiedzie, wynika, dodajmy, bardziej z oczekiwań niż z konkretnych działań. Premier nie odgrywał przecież do tej pory eksponowanej roli politycznej. Należy zatem cieszyć się, że zaczyna swoją pracę z takim właśnie kapitałem oczekiwań i nadziei. Tak, jak należy sobie życzyć, aby jego dalsza działalność przyczyniała się do uzdrawiania polskiego życia politycznego.

To już jednak zadanie znacznie trudniejsze niż formułowanie ogólnych i mało, niestety, konkretnych założeń programowych nowego rządu, z jakimi mogliśmy się na początku zetknąć.

W czym dziś upatrywać można najpoważniejszych zagrożeń dla gabinetu premiera Buzka? Liczba potencjalnych niebezpieczeństw jest duża, ale jedna sprawa wydaje się najważniejsza: brak klarownej wizji rozwoju państwa. Naprawianie szkód popełnionych przez poprzednie ekipy nie jest bowiem takim programem i to w żadnej, w gruncie rzeczy, dziedzinie życia publicznego. Wizja natomiast działania władzy, której, jak się można domyślać, od dłuższego czasu bezskutecznie oczekuje społeczeństwo polskie, jest wizją polegającą na równoważeniu wielu, często wykluczających się, interesów publicznych.

Polska dwudziestolecia międzywojennego (żeby odwołać się do tego tylko konkretnego przykładu), mimo ówczesnego zacofania i głębokich społecznych podziałów, wynikających, dodajmy, nie tylko z przełamywania porozbiorowych realiów, ale też z bardzo wyraziście różniących się opcji politycznych – taki właśnie generalny plan budowy niezależnego państwa miała. I co ważniejsze, starała się ów plan wprowadzać w życie. To w istocie jedyny najpewniejszy grunt, na którym budować można zaufanie do władzy. Nie interes partyjny i nie uzurpacje różnych grup nacisku decydują o historycznej racji stanu. Czy wszyscy na górze mają tę świadomość? Wątpię.

W polskim rządzie wydaje się istnieć dość klarowny podział na dwie poważne grupy nacisku. Jedna z nich optować będzie za częściowym bodaj spełnieniem obietnic wyborczych. Druga przeciwstawia się tym próbom, zwracając uwagę na rachunek ekonomiczny. Ci drudzy nawoływać będą do realizacji zadań gospodarczych kosztem budowania perspektyw dla polityki społecznej. Słyszymy ten sam stale wracający motyw, wypowiediany wielokrotnie przy różnych okazjach: Z próżnego i Salomon nie należy... Aby więc żyć lepiej, trzeba płacić określone ceny zarówno w edukacji, w ochronie zdrowia, jak i w kulturze. I nie może być od tego żadnego odwołania. Ale jednak Salomon istnieje. Skutki zaś jego działalności polegającej na realizowaniu dogmatycznej polityki obliczonej na przykład na usztywnianie budżetu oraz budowanie wokół ministerstwa finansów zamkniętej twierdzy, z której wydaje się tylko dyspozycje dotyczące wszelkich istotnych posunięć rządu, owocuje dziś załamaniem w kilku przynajmniej niewralgicznych sferach życia publicznego. Ten dramat będzie się zresztą z każdym dniem pogłębiał. Żadne zaklęcia faktu tego nie zmienią. Tak samo jak wyrażanie nadziei, że następne dopiero pokolenia doczekają realizacji podstawowych życiowych potrzeb. Nie ma na to rady. Oprócz filozofii zamkniętej twierdzy istnieje bowiem wielka i uzasadniona społeczna niecierpliwość. Nadużywanie jej może okazać się bardzo niebezpieczne. Tak dalece, że mury twierdzy, w której decyduje się nie tylko o sprawach finansów państwa, mogą okazać się bardziej kruche, niż sądzą o tym dziś jej mieszkańcy.

Do zaniedbań zyskujących już wymiar haniebny trzeba zaliczyć stałe i co-

raz bardziej konsekwentne ograniczanie dostępu do kultury. O czym tu mowa! – dziwi się ten i ów. Żaden z dotychczasowych rządów, po okresie odzyskiwania swobód demokratycznych, nie przywiązywał do tej sprawy większego znaczenia. Ani więc administracja państwowa, ani parlament (w kilku tych parlamentach nie odbyła się ani jedna dyskusja na temat realizacji konstytucyjnego prawa do uczestnictwa w kulturze), nie chciały podejmować debaty o problemach dla poczucia tożsamości Polaków fundamentalnych. Świadomie i z poczuciem braku odpowiedzialności za tego rodzaju szkodnictwo ograniczano coraz bardziej wkład budżetu państwa w budowanie koniecznych zabezpieczeń. Reguły narzucane przez konstruktorów kolejnych budżetów biorą się oczywiście z przeświadczenia, iż to jest najstarsza dziedzina życia publicznego i że żadnych zagrożeń dla finansowych interesów stąd być nie może. Przeświadczenie to płynie z fałszywego, w gruncie rzeczy, założenia, że przecież kultura polska i tak nie umrze, nawet jeśli wydatki przeznaczone przez państwo na te cele oscylować będą w granicach połowy jednego procentu w ogólnej skali budżetu. Dodajmy, że trwa to od lat i że pod tym względem znajdujemy się na poziomie głębokiego zacofania nie tylko wśród krajów europejskich.

Są jednak wśród polskich ekonomistów zwolennicy takiej właśnie strategii. Wiedzą oni doskonale, że swoje miejsce w Europie zawdzięcza Polska w znacznie większym stopniu temu, co jej kultura wniosła do tradycji europejskiej aniżeli ich wysiłkom zmierzającym do ugruntowania pozycji polskiego państwa.

W czym więc dramat i skąd biorą się lamente frustratów? – dziwią się niektórzy. Głupota, umożliwiająca stawianie podobnych pytań i bez troska, z jaką władze państwowe traktują problem uczestnictwa w kulturze, wynika z faktu, że kultura polska istotnie nie umiera. Umiera natomiast jej bliski związek ze społecznym zapleczem. A to dla poczucia narodowej tożsamości może się okazać dramatem wykraczającym daleko poza sferę eksperymentów budżetowych.

I co z tego? I tak nie wiadomo, czy zamknięci w swojej twierdzy urzędnicy od finansów nie będą musieli w bliższej lub dalszej przyszłości szukać, nie tylko

politycznego, consensusu na ulicach. Tego jednak sobie ani nikomu życzyć nie należy.

Życzyć natomiast wypada nowemu premierowi, aby jego rząd okazał się, częściowo przynajmniej, zdolny do spełnienia pokładanych w nim nadziei. Jego zaś strategia polegać powinna na nieugiętanym się przed żadnymi, najpiękniej nawet brzmiącymi dogmatami ekonomicznymi. Należy więc oczekiwać zmiany dotychczasowych priorytetów. Pora bowiem odejść od rozwiązywania wyłącznie doraźnych problemów na rzecz wyraźnie zarysowanej historycznej perspektywy.